

Droga na wschód

"Ozon", 19.05.2005

Aleksandra Więcka



BE&W

To nieprawda, że Polacy bojkotują rosyjską kulturę. Jest wręcz przeciwnie – nowa rosyjska i ukraińska literatura, białoruskie reggae, smak gruzińskiego wina to dla wielu młodych fascynujące zjawiska. W nich szukają słowiańskiej tożsamości i prawdziwego życia.

1 2 3 4 5 ❏

Jeszcze tydzień temu wydawało się, że Polska żyje bojkotem Teatru Bolszoi, do którego rzekomo doszło w reakcji na przemówienie Putina podczas obchodów 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej w Moskwie. Wystarczyło kilka dni, by okazało się, że brak widzów na przedstawieniach to nie bojkot, tylko błędy organizacji koncertów, a Bolszoi to też nie Bolszoi, tylko jego artyści, którzy przyjechali na występy do Polski, bo nie mieli nic innego do roboty w trakcie urlopu. Sytuacja z dramatycznej stała się groteskowa. I chyba tak wyszło lepiej, bo rzeczywistość nie ma nic wspólnego z obrazem Polaków obrażonych na sztukę i kulturę rosyjską. Wręcz przeciwnie – fascynacja Rosją, Ukrainą, Gruzją czy Białorusią – zaczyna u nas nabierać nieznanych wcześniej barw. Czytamy książki autorów ze Wschodu, coraz częściej jeździmy za wschodnią granicę. Co nas tam ciągnie? Egzotyka, swojskość, a może snobizm?

Jeszcze kilkanaście lat temu cała nasza wiedza o wschodzie Europy ograniczała się do tego, co udało się wyczytać z Dostojewskiego, odcedzić z artykułów w prasie, zapamiętać z mdławych czytanek z podręcznika do rosyjskiego. Ale w ostatnich latach wypiliśmy już dużo niemieckiego piwa, zjedliśmy mnóstwo spaghetti i hamburgerów. Poznaliśmy polityczną poprawność i seks w wielkim mieście. Jednocześnie nabraliśmy dystansu do historyjek z rosyjskich czytanek. Niektóre zaczęły nawet budzić w nas sentyment. Przestaliśmy wierzyć w mity, że tam jest bardzo niebezpiecznie. Zaczęliśmy dostrzegać coś innego – wspólnotę korzeni, a może tylko doświadczeń.

– Wyrosło nowe pokolenie, które może odbierać Rosję bez kompleksów i poczucia przymusu, jakie było udziałem dorastających choćby w latach 80. – przekonuje Piotr Nowicki, komisarz wystawy „Warszawa–Moskwa/Moskwa–Warszawa 1900–2000” w warszawskiej Zachęcie, na której pokazano prace przedstawicieli współczesnej sztuki rosyjskiej i polskiej. Odwiedziło ją kilkadziesiąt tysięcy osób.

– Dawniej w Polsce mieliśmy dostęp wyłącznie do rosyjskiej klasyki: Dostojewskiego, Tołstoja, Puszkina. Wspaniałej, tyle że niewiele mówiącej o dzisiejszej Rosji – twierdzi doktor Michał Bohun, znawca filozofii rosyjskiej z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Teraz znamy młodą sztukę – popową i alternatywną. Wystarczy wstukać w wyszukiwarkę „kino

rosyjskie”, by pojawiło się kilkanaście stron festiwalu, przeglądów i dni filmu z za wschodniej granicy w kinach od Radomia po Kraków.

Niedawno nastolatki ruszyły do księgarń, by kupić „Daj mi” Iriny Dienieżkiny reklamowanej jako „rosyjska Masłowska”, która w kilkunastu opowiadaniach pisze o tym, czym żyją nastolatki, również w Moskwie: seksie, imprezach, przyjaźni. Wydawnictwo W.A.B. skupia się na literaturze popularnej – począwszy od kryminałów Aleksandry Marininy, na powieściach Wiktora Pielewina czy Władimira Sorokina skończywszy. Jednak ich sukcesy wydawnicze są także efektem intensywnych kampanii promocyjnych. – Sama pamiętam, że kiedy wydano „Terenowe badania nad ukraińskim seksem”, miałam wrażenie, że Oksana Zabużko czeka za każdym rogiem – mówi Katarzyna Kotyńska, tłumaczka książki. Ale czy zainteresowanie tamtejszą literaturą można przypisać tylko reklamie? – Zdecydowanie nie – mówi Kotyńska. – Chociaż wydaje mi się, że czytelnicy Oksany Zabużko czy Aleksandry Marininy bardziej zwracają uwagę na to, że to dobry kryminał czy powieść, niż na ukraińskość czy rosyjskość. Inaczej wielbiciele Jerofiejewa czy Andruchowycza.

– Powieści Jurija Andruchowycza sprzedają się w kilkutyśnych nakładach, ale kupuje je stała grupa czytelników ciągle się powiększająca – potwierdza Monika Sznajderman, właścicielka wydawnictwa Czarne, które wprowadziło na rynek serię „Inna Europa”. W marcu ukazały się nowe poświęcone Ukrainie powieści Andruchowycza („Dwanaście kręgów”) i Tarasa Prochaški („Niezwykli”).

Co każe takim zapaleńcom przekonywać ludzi, że wschód Europy jest ciekawy? – Kilka lat temu zdałem sobie sprawę, że większość moich przyjaciół tam jeździ, przywożą różne ciekawe rzeczy: ukraiński rock, ska czy reggae, czeskie kino alternatywne, białoruską młodą literaturę, znajomości – opowiada Emil Majuk, redaktor naczelny portalu Panorama Kultur. Mieszka w Wojsławicach na pograniczu polsko-ukraińskim i twierdzi, że to właśnie wielokulturowość miasteczka rozbudziła w nim zainteresowanie wschodnią Europą. Dwa lata temu założył portal internetowy mający służyć jako miejsce wymiany informacji dla miłośników tej części świata. – Mamy kilkaset wejść dziennie, a po rewolucji na Ukrainie ponad 500 – mówi Piotrek, informatyk portalu. Trzon redakcji to 15 osób piszących regularnie i dwa razy tyle współpracowników. – Mimo że wszyscy w Panoramie Kultur pracują za darmo, co kilka tygodni ktoś przysyła CV i list motywacyjny z prośbą o zatrudnienie – śmieje się Emil.

– Kiedy upadł komunizm, a warunki zaczęły dyktować rynek, w ogóle przestały ukazywać się u nas książki z tamtego regionu, nikt nie wiedział, co tam się dzieje – mówi Sznajderman. – A nas zupełnie nie bawiło wydawanie literatury francuskiej czy niemieckiej, którą zajmowali się inni.

Od części Europy znanej ze zdjęć i gazet, zwiedzanej według wytyczonych dla turystów szlaków, woleli inny kawałek kontynentu. – Trochę dziki, nieuporządkowany, ale znacznie bardziej nas inspirujący – dodaje Monika Sznajderman. I udało się. Okazało się, że są tacy, którzy chcą czytać o ludziach mających podobne korzenie, wspólne doświadczenia historyczne, z którymi tak jak my muszą sobie jakoś poradzić. Zwłaszcza że wspólna historia czasem nas dzieli. Katarzyna Kotyńska pisze doktorat o tym, jak Lwów widzą Polacy, Rosjanie, Ukraińcy. Każdy naród uważa miasto za swoje.

– Nasze stosunki z Rosją i innymi krajami tamtego regionu są mocno „asymetryczne” – dodaje doktor Michał Bohun. Nie możemy liczyć na odwzajemnienie naszych fascynacji. Owszem, bywały okresy, gdy polskie pisma, takie jak „Kino” czy „Przekrój”, były dla tamtejszych elit powiewem Zachodu. Ale teraz?

– Z badań prowadzonych wśród rosyjskich i polskich studentów wynika, że Polacy znają przynajmniej podstawowe fakty z historii Rosji i kilka nazwisk. Rosjanie o Polakach nie wiedzą prawie nic – mówi doktor Bohun. Mentalnie bliżej im do Nowego Jorku niż do Warszawy. My nigdy nie mieliśmy im nic specjalnego do zaoferowania. Z polskich pisarzy

największą popularnością cieszy się w Rosji Joanna Chmielewska.

Zresztą dla nas Rosja, Ukraina czy Białoruś to wciąż jeszcze nie Europa. Chcielibyśmy mit przedmurza chrześcijaństwa zastąpić mitem mostu, którym do tych krajów trafi cywilizacja. – Wielu Polaków lubi występować tam w roli „starszych braci”, którzy swoje już przeżyli, wiedzą więcej – mówi Antek Bielewicz, 31-letni dziennikarz. Wyjazd na Wschód jest dla nich jak oglądanie thrillera. Tam jest strasznie, ale i atrakcyjnie, a po powrocie można zaakceptować nasze drobne, w porównaniu z tamtejszymi, polityczne afery.

– Poznałem człowieka, który zdecydował się robić karierę w Moskwie. Wiedzie mu się doskonale. Ale ciągle powtarza, że po powrocie do Polski przez 10 lat nie powie złego słowa na nasze urzędy. W porównaniu z rosyjskim chaosem to wzór porządku – opowiada Bielewicz, który był jednym z kilku tysięcy polskich obserwatorów wyborów na Ukrainie. – Grupa miała różnorodny skład – od dawnych działaczy NZS po studentów, którzy spóźnili się na rewolucję w Polsce i chcieli to nadrobić – opowiada Antek. Trafili pod Charków. Lokal wyborczy mieścił się w starej zakładowej sali kinowej, w której hulał wiatr tak zimny, że ledwo było widać twarze komisji okutanej w płaszcze i kurtki. Przewodnicząca ostentacyjnie pokazywała, że wszystko przebiega zgodnie z zasadami demokratycznych wyborów. Na koniec odczytała swój wiersz o Ukrainie. Było biednie, było biernie. – Pod Charkowem ludzie chcieli spokoju, a nie rewolucji. Jechaliśmy tam z wizją, że Juszczenko to jedyna słuszna droga dla Ukrainy, ale na miejscu przestało to być dla mnie oczywiste – dodaje Bielewicz.

Takie podróże burzą stereotypy i osłabiają przekonanie o własnej wyższości. A podróżujemy w te rejony coraz częściej. Według Światowej Organizacji Handlu w 2002 roku region Europy Środkowo-Wschodniej odwiedziło 80 mln ludzi, a do 2020 roku ta liczba ma się potroić. – Dwa lata temu mieliśmy 12 różnych przewodników po Europie Wschodniej, w zeszłym roku 45, na najbliższy sezon chcemy wydać jeszcze więcej – mówi Tomasz Ostrowski, dyrektor krakowskiego wydawnictwa Bezdroża specjalizującego się w książkach podróżniczych. Szybko znikają te po Lwowie czy Moskwie, ale również takie, które opisują regiony, bez względu na to, że przebiegają przez nie granice państwowe. – Mamy przewodnik po Bukowinie opisujący zarówno rumuńską, jak i ukraińską jej część, bo tak podróżują nasi klienci. Wybierają to, co chcą zobaczyć, nie trzymając się granic czy podziałów administracyjnych – dodaje Ostrowski. Motywacje i cele są różne. Jedni jadą po przygodę: dziką naturę i adrenalinę. – Miejsca, do których jeździmy, są jeszcze nieskomercjalizowane – mówi Michał Przybysz z Biura Podróży „Horyzonty”. Organizuje trekkingi w górach Kodaru i Kałarskich na Syberii. – Mieszkamy w prawdziwej wsi Ewenków, przez kilka dni po prostu żyjemy tak jak pasterze reniferów i myśliwi – opowiada. Zupełnie inaczej niż na Kamczatce, gdzie biznes turystyczny rozkwitł i za dowieszenie helikopterem na kilkugodzinną wizytę w wiosce amerykańscy „łowcy przygód” płacą setki dolarów.

Na zeszłoroczną wyprawę nad Bajkał mogli zabrać 15 osób. Listę zamknęli półtora miesiąca przed datą wyjazdu. Najmłodsza uczestniczka miała 23 lata, najstarsza była emerytką. – To był pierwszy sezon działania biura, mieliśmy ograniczoną reklamę. Ludzie po prostu chcą jeździć w tamte okolice – cieszy się Przybysz.

Ale adrenalina i egzotyka to niejedyne motywacje podróży. – Ludziom wydaje się, że w Gruzji czy Armenii nie ma nic do oglądania. Tymczasem widziałam tam XI-wieczną katedrę, ciągle tętniącą życiem podczas codziennych obrzędów religijnych. Notre Dame to przy niej piękna makieta, którą trzeba oblecieć jak najszybciej, bo za plecami tłoczy się kolejna wycieczka – opowiada Michalina Połubińska (31 lat), harfistka. Zachwycili ją ludzie. – Serdeczni, życzliwi, szczerzy, łatwo się z nimi zaprzyjaźnić – opowiada. Pojechała na zaproszenie swojej lektorki gruzińskiego. Jej rodzina przyjęła ją jak swoją. To za tym tęsknią najczęściej ci, którzy wolą wakacje na Krymie niż na Lazurowym Wybrzeżu. – Byłem w Holandii i widziałem, jak tuż przed nosem psa przebiegł

kot. Pies niby chciał się za nim rzucić, ale wykonał jeden ruch i zobojętniał, odechciało mu się. Mam wrażenie, że tak samo zachowują się ludzie na Zachodzie. Nie ma w nich ognia. Tego szukam w podró-żach na Wschód – mówi Daniel Kuropaś, współpracownik portalu Panorama Kultur.

Tę atmosferę usiłują odtworzyć na urodzinowej imprezie portalu. Gra zespół Sarakina z Białegostoku, twórczo interpretujący bułgarski folk. – Nie jesteśmy rozpoznawani na ulicach – mówi Janek Mlejnek, klarncista zespołu i student białostockiej Akademii Muzycznej – ale gramy koncerty, wydajemy kolejne płyty. Potrafią poderwać publiczność z krzesel. Dziewczyna z dreadami do pasa trzyma pod rękę siwego pana, on obejmuje korpulentną 30-latkę. Być może to właśnie takie imprezy i częstsze kontakty z kulturą sąsiadów sprawiły, że od 1995 r. systematycznie rośnie nasza sympatia do Rosjan, Ukraińców czy Białorusinów. Zwłaszcza młodzi wykształceni Polacy ankietowani przez CBOS w 2002 r. twierdzili, że lubią te nacje.

– Tęsknimy za tym, co charakterystyczne dla społeczeństw nastawionych na wspólnotę, a nie na jednostkę – mówi doktor Michał Bohun z UJ. – Z drugiej strony te cechy są pierwotne, typowe dla bardziej zacofanych technologicznie społeczności, gdzie ludzie muszą się jednoczyć, by przetrwać – dodaje. I choć tak nas to pociąga, te zachwyty podszyte są tęsknotą za domem, gdzie autobusy są punktualne, a supermarkety pełne. Snobizm polega na udowodnieniu, że tak naprawdę nic nie znaczą luksusy, które mamy od niedawna, za to pociąga nas „prawdziwe proste życie”.

Dlaczego polubiliśmy je nagle i dopiero teraz? Być może dlatego, że wcześniej odkryli je podróżnicy z Zachodu. Zdziwienie ludzi ze schronisk backpackerskich w Indiach i Wietnamie, gdy usłyszeli, że nigdy nie jechałam koleją transsyberyjską, było dla mnie lekcją, że najtrudniej odkryć to, co jest tuż za miedzą.

http://www.ozon.pl/tygodnikozon_2_10_125_2005_5_1.html